Rok VI. 16 Grudnia 1934. Nr. 51

DZWONECZEK

Czego się Jaś nie nauczył...

Literatura każdego narodu posiada między najrozmaitszemi utworami pisanemi także i rzeczy powstałe w ustach ludu, jak n. p. pieśni i piosenki, legendy, baśnie, dumy, bajki i przypowieści, a wreszcie przysłowia. Przez kogo i kiedy powstały te rzeczy — nie można najczęściej określić. Ten, kto je ułożył, bardzo dawno, przed wiekami jeszcze, pisać nie umiał. Powtarzano je więc tylko z ust do ust, z pokolenia w pokolenie — i tak przetrwały aż do czasu, kiedy nareszcie ktoś się tem zainteresował i spisał.

Istnieją zatem całe zbiory melodyj, pieśni, przysłów i t. d. O tych ostatnich, t. j. o przysłowiach, mówi się powszechnie, iż zawarta w nich bywa mądrość narodu. Są to zazwyczaj myśli głębokie treścią, a wypowiedziane dobitnie, w formie krótkiej, zwięzłej.

Weźmy pierwsze lepsze, a tak dobrze znane wszystkim, zarówno ludziom wykształconym, jak i prostaczkom: Kto z Bogiem, z tym Bóg. Przysłowie to jest tak zrozumiałe, że chyba nie wymaga żadnych objaśnień, bo rzecz oczywista, że kto w Boga wierzy, Boga miłuje, ufa Jemu, w każdej pracy, potrzebie, czy nieszczęściu wzywa Jego pomocy, a za wszystko dziękuje wdzięcznie, — dla takiego Bóg jest zawsze blisko i daje mu odczuć swoją Opiekę.

A teraz weźmy inne przysłowie: Czem skorupka zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci. Albo: Czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy. I jeszcze inne: Naginaj drzewinę, póki młoda. Wszystkie te trzy ostatnie przysłowia odnoszą się przedewszystkiem do wieku młodego, a nawet dziecięcego i zapewniają, że czas młodości to pora najodpowiedniejsza do nauki wszystkiego dobrego; że czego człowiek nie zdobędzie zamłodu, to w wieku późniejszym przyjdzie mu zdobywać z trudem; że do czego nawyknie w latach wczesnych swego życia, od tego już ciężko będzie mu się później odzwyczaić — tak w dobrem, jak i w złem znaczeniu.

Otóż to! Szczęśliwie, gdy taki mały człowieczek nauczy się od lat dziecinnych utrzymywać ciało swe w czystości, myć zęby, czyścić codziennie paznokcie, przechowywać wszystko w porządku, wstawać wcześnie, nie wylegiwać się, nie odkładać pracy na później, nie wszczynać ze wszystkimi zwady, nie przezywać, nie kląć. Bez trudu można sobie wyobrazić, jaki z takiego chłopca wyrośnie młodzieniec, a później mężczyzna.

A teraz weźmy całą sprawę odwrotnie. Odrazu stanie przed nami wizerunek człowieka, z którym nikt nie zechce mieć nic do czynienia. Wówczas dopiero zrozumiemy, jak wielka prawda mieści się w takiem przysłowiu: „Czem skorupka zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci", lub w jemu podobnych.

Kiedyindziej pomówimy szczegółowo o pewnych przyzwyczajeniach, które nabyte za lat młodocianych, nie chcą się już nigdy później dać wykorzenić, i przekonamy się, że rzeczywiście, czego się Jaś nie nauczył, do tego trudno nawyknąć Janowi, to znaczy człowiekowi starszemu.

Red.

Król polskiej puszczy.

Za króla zwierząt uważa się powszechnie lwa. W naszym klimacie, jak wiadomo, lwy nie żyją i miejsce królewskie międzv zwierzyną polskich lasów i gór zajmuje niedźwiedź.

Bardzo to interesujące zwierzę i warto o niem posłuchać, tembardziej, że wiele chodzi o niedźwiedziu niezasłużonych plotek, które uwłaczają czci jego królewskiej mości. Niedźwiedź nie zawsze jest tak zawziętym, nieprzejednanym mięsożerem, za jakiego go mają. Owszem, uważa siebie za pół jarosza, któremu smakują wszelkie jarzyny, zboża, trawy, korzenie różnych krzewów, kasztany, a co więcej — przysmaki takie, jak poziomki, maliny, winogrona, wreszcie miód i mleko. Nawet na gruszki nieraz apetyt miewa tak wielki, że jesienią schodzi milami ze swych górskich kryjówek w doliny i tam składa wizyty w bogatych sadach mieszkańców.



W zimie, w czasie srogich mrozów, śpi po kilka dni z rzędu w głębi swej jaskini, we wklęśnięciu skały lub w gnieździe, zrobionem z gałęzi i grubo wysłanem mchami. W leśnej puszczy mieszkanie jego nazywamy zwykle matecznikiem. Gdy go głód zbudzi, urządza wyprawy w okolice ludzkich siedzib, gdzie wie, iż się tam będzie mógł posilić jakąś kozą, owcą lub baranem. Szczególnie nabiera apetytu na mięso, gdy przedtem, zburzywszy mrowisko, naje się do syta jego drobnemi mieszkankami, a kwas mrówczany podrażni mu wnętrzności.

Niedźwiedź czarny nie napastuje podobno ludzi ni bydła, gdy nie jest głodnv. Brunatny natomiast wpada często w środek trzody kóz, które w przerażeniu rozbiegają się na wszystkie strony i spadają w przepaście. Tam potem schodzi sobie niedźwiedź i pożera biedne ofiary. Umie też dostać się nocami do stajen, gdzie porwawszy kozę lub owcę, unosi zdobycz do swej kryjówki. Kroczy wtedyuna dwu tylnych łapach, zadusiwszy przedtem swą ofiarę w potwornym uściskz odnóżami przedniemi. Jeśli wypadnie mu polować na krowę, w pada na nią tyłu, chwyta za rogi i wyszarpuje kark po kawałku, dopóki biedne zwierzę nie padnie. Zato koni unika, bojąc się ich kopyt.

Takim napastliwym staje się niedźwiedź tylko wtedy, gdy jest zgłodniały, raniony, gdy widzi swoje młode w niebezpieczeństwie, lub gdy mu ludzie zakłócą spoczynek. Idzie wtedy na wroga w całej swej wysokości, chwyta go, dusi w objęciach i rozrywa zębami. Bywały wypadki, że myśliwemu

wyrwał strzelbę z ręki, złapał go w swe szpony i staczał się z nim po zboczu góry. Na dole zaś, zostawiwszy nieszczęsnego napół jeszcze niekiedy żywego, sam umykał czemprędzej.

Niedźwiedzie karpackie słyną z tego, że zranione ścigają swego napastnika z nadzwyczajnym uporem, dniem i nocą, ze skały na skałę, przez potoki, idą ślad w ślad, czatują całemi godzinami, szukają go po wszelkich schowkach i tylko śmierć zwierzęcia przerwać może ten pościg szalony. Kiedyindziej umie być niedźwiedź tak łagodnym, że potrafi dziewczynce zjeść z koszyka czy z dzbanka uzbierane poziomki, a nieraz na sam krzyk dziecka ucieknie.

Niedźwiedzie wspinają się świetnie na drzewa i często z takiej strażnicy śledzą za zdobyczą. Również i swoje młode umieszczają na drzewach, gdy zachodzi obawa napadu. Pewien myśliwy zabiwszy niedźwiedzicę, usłyszał szmery na pobliskiej sośnie i ujrzał tam dwa niedźwiadki ukryte przez matkę.

Gdyby nie szkody, jakie czynią niedźwiedzie przez swą żarłoczność, żal byłoby tępić je tak zawzięcie, są to bowiem zwierzęta wielce zabawne i dobroduszne. Charakter mają szczery, bez chytrości i fałszu, jak naprzykład wilk lub lis, toteż łatwo się oswajają i chociaż niezbyt sprytne, uczą się różnych sztuczek.

Świeżo urodzone niedźwiadki są ślepe, bardzo miłe, wielkości szczura. Po czterech tygodniach widzą, a są wtedy dwa razy większe niż w chwili przyjścia na świat. Oczka mają wgłębione, mordkę śpiczastą i malutki ogonek. Matka z największą pieczołowitością chodzi około swego potomstwa i zawsze gotowa jest oddać za nie własne życie. *H.*

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.
(Dokończenie).

Teraz zwłaszcza, kiedy tak w chorobie powoli odzyskując przytomność, wracałem myślą w tamte strony, dopiero co opuszczone, w całej piękności stawało przedemną wszystko i odżywało nanowo. Czasem zdawało mi się, kiedy w tej kajucie ze snu oczy otwierałem, że zbudził mnie łoskot podobny do uderzeń siekierami: to małpy w koronie drzewa z takim hałasem rozbijały o gałęzie twardy owoc. To znowu zrywałem się na łóżku, słysząc wyraźnie dźwięk srebrnych dzwonków i fletu; nadsłuchiwałem, przypominając sobie takie zdumiewające gwizdanie najznakomitszego śpiewaka Palmalu, sławnego cyforusa, zwanego flecistą, a którego w gąszczu nigdy odkryć nie można, tak swym kolorem zlewa się z otoczeniem.

To mi się znowu przed oczyma uwijały tyrany, kotingi i tanagry modroskrzydłe. To przypominałem sobie pilika zielonego z czerwonym brzuszkiem, lub trogona granatowego z żółtym brzuszkiem. Odpędzałem w gorączce od siebie myrmię w piórkach z łuską fioletową, najmniejszego z kolbrów, co na żółtej mimozie burczał jak trzmiel polskich łąk i ogrodów. To goniłem i z łóżka się zrywałem za najokazalszym chrząszczem całego świata, złotkiem olbrzymim, sześć centymetrów długim, żółtym pyłkiem okrytym, jak nasze szerszenie, burczącym pod palmami, a którego lotów wspaniałych nigdy nie zapomnę.

Nieraz mnie prześladował żałosny świst kulona, lub trwożył przez sen wielki okrągły trop, o czterech rozstawionych palcach, trop niebezpiecznego jaguara, króla tych puszcz, przez które wędrowaliśmy, polując na czaple kró-

lewskie i białe ibisy, na różowe flamingi z czerwonemi skrzydłami, na fregaty z długim ogonem, o skrzydłach olbrzymich co w dziesięciu godzinach zdolne przelecieć 2000 kilometrów; tych puszcz dziewiczych, w których brodatek siadywał na bambusach, a zielony zimorodek szukał w wodzie zdobyczy, a gdzie mybyśmy byli wszystkie najcudniejsze złowione okazy oddali za jedną penelopę białoskrzydłą. Najznakomitszy znawca skrzydlatej fauny Peru i jego okolic, zasłużony polski podróżnik, Jan Sztolcman, na wiele lat przed nami, jeszcze je tu widywał, łowił i opisywał naukowo; myśmy już nie spotkali tego coraz rzadszego, a tak wspaniałego ptaka.

Kiedym się dziś rano zbudził w swojej kajucie, nie czułem, że nasz statek kołysze się na falach Amazonki, tylko mi się zdawało, że przeżywam jeszcze raz poranek nad jednem z jeziorek, gdzie obozowaliśmy raz w naszej podróży, a gdzie zobaczywszy stado dziewięciu tantalusów białych, o czarnych głowach i skrzydłach, na wysokich nogach, zmierzających szeregiem przez mieliznę po raka, krzyknąłem oszalały z radości: Bociany, nasze bociany! — i wybuchnąłem jak dziecko płaczem, po którym nie mógł mnie profesor uspokoić. Tak zerwała się wtedy we mnie tęsknota za Ojczyzną; tak wybuchnęła we mnie ta tęsknota dziś rano, kiedy z takiem wspomnieniem zbudziłem się cały we łzach.

Usiadł zaraz przy mnie na łóżku dobry pan Stefan i mówiliśmy długo o tem, co mnie do płaczu budziło. Mówiliśmy o tem, jak mi żal rodzinnej zagrody, co w Borówce przeszła w obce ręce; jak żal mi ojca i matki, co wśród obcych muszą ciężko pracować; jak mi żal jedynej siostrzyczki, która zmarnieje na cudzym chlebie. Mówiliśmy o tem, że po dziś dzień miałbym jeszcze troje rodzeństwa, gdyby nie ta nieszczęsna podróż do Brazylji: jeszcze widzę ten obcy cmentarzyk w Paranie, w którym zostawiliśmy, żółtą febrą zabite, dwie młodsze od Halinki siostrzyczki moje, bliźniaczki; jeszcze widzę tę smutną noc na Antlantyku, kiedyśmy już zaraz w drodze do Brazylji rozstali się z dziesięcioletnią siostrą moją, zmarłą na okręcie i tak niemiłósiernie na pastwę rekinów oddaną morzu.

Mówiliśmy o tem wszystkiem dziś rano z panem Stefanem; i radziliśmy długo; i liczyliśmy, ile to ja przy nim przez rok zarobiłem grosza; a nadewszystko czy go starczy na urzeczywistnienie mych marzeń; na powrót rodziców z Halinką i ze mną do Polski i na odkupienie zagrody rodzinnej w Borówce. Na pierwsze dość byłoby moich oszczędności, na drugie — znacznie mało. Lecz poczciwy pan Stefan pomoże i ułatwi mi wszystko. Ja mu zaś za wszystko kiedyś się odwdzięczę. Z jego pomocą obiecuję sobie w ciągu roku przygotować się do wstąpienia do szóstej klasy gimnazjalnej w Warszawie, by móc przedewszystkiem szkoły skończyć. Dostanę lekcje i sam się potrafię utrzymać. A rodziców osadzę z powrotem na roli w Borówce, w której żywy przykład ich nieszczęść minionych będzie odstraszał sąsiadów od ucieczki za morze.

Jutro wysyłamy listy do Rio de Janerio ze wskazówkami, w którym porcie Brazylji mamy się spotkać z rodzicami, by z nimi razem ruszyć przez Atlantyk do Europy i do Polski. Daleko nam do niej jeszcze, a nasi Maori już w tej chwili może dopłynęli do rodzinnej wyspy... Szczęśliwi!

A kiedy i my się znajdziemy w swojej Ojczyźnie, pewnie każdy z nas powtórzy sobie nieraz, że są po świecie bajecznie piękne raje palmowe pod obcem niebem i nad cudzemi wodami; lecz Polakowi najcudniejszy raj na świecie nie zastąpi drogiej, świętej ziemi polskiej z gajem brzóz swojskich.

Z pomiętnika Janka Orszy spisał Kazimierz Kalinowski.

Koniec.